

Skok pod poprzeczką

KRZYSZTOF KUCHARSKI

Pierwszą premierę w nowym sezonie artystycznym na Dolnym Śląsku zaserwował Teatr Dramatyczny w Legnicy. Wytoczył działą sporego kalibru — „Operę za trzy grosze” Bertolta Brechta. Dziwić to specjalnie nikogo nie powinno. Od pierwszych wywiadów po objęciu legnickiej sceny dyrektor Józef Jasielski deklaruje, iż nie interesuje go robienie teatru nijakiego i pójdzie po linii najmniejszego oporu. Stąd też postawił sobie i zespołowi najwyższe wymagania. W ciągu siedmiu lat wyreżyserował m. in. „Dziady” Mickiewicza (1984), „Hamleta” Szekspira (1987), „Wesele” Wyspiańskiego (1982), „Nie-Boską komedię” Krasńskiego (1986), „Balladynę” Słowackiego (1983), „Wiśniowy sad” Czehowa (1986).

Z rachunku wystawionego w programie „Opery...” a podsumowując dziesięć sezonów legnickiej sceny wynika, iż sztuka Brechta jest 67 premiera. Poprzednie 66 premier obejrzało 678 757 widzów na 2670 spektaklach. Zarówno repertuarowi jak i danym statystycznym trudno cokolwiek zarzucić. Wniosek można wysnuć jeden — jest to bardzo ambitny teatr operujący swój repertuar na najwyższych poziomach światowego i polskiego dramatu, który znalazł uznanie u widzów.

Jest to prawda i trochę nieprawda. „Dziady” były grane 82 razy i obejrzało je prawie 25 tysięcy widzów, „Wesele” ponad 50 razy. Kilka innych pozycji do pięćdziesiątki dobiegało. To bardzo dużo jak na wielkość i zasięg tego teatru. Ale należy tu dodać, że statystykę znacznie poprawiały spektakle adresowane do dzieci. „Kopciuszek” był pokazywany 122 razy i obejrzało go prawie 40 tysięcy młodych widzów. Odbiło się też ponad sto spektakli „Pinokia” i „Czarodziejskiego krzesiwa”. Zresztą spektakle dla dzieci nie były tu nigdy traktowane po maco-

szemu. Zawsze, zwłaszcza w ostatnich latach, przygotowywano je z dużym nakładem sił i środków.

Wydawać by się mogło, że trudno cokolwiek zmącić ten optymistyczny obraz legnickiej sceny. Tytuły, inscenizacyjny rozmach i wreszcie suche liczby taki właśnie obraz tworzą. Przez te dziesięć lat opuściłem może 15 premier i wcale ambicji legnickiej scenie nie zamierzam odbierać, ale też nie mogę napisać, że wszystkie repertuarowe pozycje satysfakcjonowały mnie pod względem artystycznym. Takich, do których krytycznych uwag bym nie miał lub były one minimalne, trafiło się niewiele.

Największe zastrzeżenia budziły zawsze możliwości aktorskie tego skromnego zespołu jako całości, choć przez parę sezonów poszczególni jego członkowie zrobili spore postępy. Swoje apogeum legnicki teatr osiągnął podczas realizacji „Dziadów”. Wtedy zespół sprawiał wrażenie najbardziej skonsolidowanego i był to chyba jedyny skok na dużej wysokości tylko z lekkim potrąceniem poprzeczki — by trzymać się sportowej terminologii użytej kiedyś przez dyr. Jasielskiego. Pozostałe próby nie wypadły tak dobrze. Choć przecież było wiele spektakli zrealizowanych na przyzwoitym poziomie, niekoniecznie wśród tytułów wyznaczających główną linię repertuarową. Mam tu na myśli kameralnego „Pelikana” Strindberga czy cieszące się dużym wzięciem u widzów, nieco skandalizujące przedstawienie „Męża i żony” Fredry. Tytułów można przytoczyć więcej. Upór i konsekwencja z jaką Jasielski stawał w Legnicy klasykę na pewno zasługuje na adorację. Ba, każda właściwie jego próba zmierzania się z kolejną wielką przeszkodą, była prze-myślana, często opierająca się na oryginalnym, nawet prowokacyjnym odczytaniu tekstu.

ale to co on wymyślił rzadko do końca potrafili zrealizować na scenie jego aktorzy.

Większość przedstawień sprawiała więc wrażenie, jakby niedokończonych, za wcześniej wpuszczonych na afisz, chybionych w obsadzie, itd. Zadania przewyższały możliwości. Można na to spojrzeć z różnych punktów widzenia. Także z takiego, iż chociaż w całości spektakl mógł budzić zastrzeżenia, ale dla poszczególnych aktorów, zwłaszcza młodych, był czasem przekroczeniem Rubikonu, rozwijał nie tylko ich umiejętności warsztatowe, ale też świadomość artystyczny horyzont.

☆

„Operę za trzy grosze” warto było zrobić, na przykład dla Mirosławy Olbińskiej, która zresztą z Legnicy przeniosła się do Łodzi i gra tylko gościnnie. Jej Jenny jest to „dama” z krwi i kości, narysowana ostro, z lekkim przymrużeniem oka. Ona jedyna ma też predyspozycje, by śpiewać songi Brechta.

Fatalna aranżacja Jerzego Kusia dokładnie obnaża wszystkie wokalne braki pozostałych wykonawców, a playbacki zwłaszcza w chórkach nie pozostawiają cienia wątpliwości, co do muzycznych możliwości tego zespołu.

Z efektownych niekiedy układów choreograficznych Juliusza Stańdy widać na scenie niewiele. Rzadko się zdarza by choć dwie osoby potrafiły zsynchronizować kroki, gesty, ruch ciałem.

Adaptacja i zamysł inscenizacyjny szedł w stronę „Kabaretu” Boba Fosse’a Jasielski wprowadził nawet postać mistrza ceremonii (Mariusz Olbiński), który gdzieś tam powinien nam się kojarzyć z Joelem Greyem. Mistrz wywołuje sceny, jak trzeba podwozi aktorów ręką na plan, zapowiada dowcipnie przerwę, czasem wtrąca się do odgrywania przez aktorów zdarzeń.



Jest to z całą pewnością interesujące i oryginalne rozwinięcie idei Brechtowskiego teatru. Również scenografia Elżbiety Iwony Dietrich zmierza w stronę umowności, podkreśla fakt, że wszystko tu jest na niby. Wystarczy kilka prostych przedstawień poszczególnych elementów scenografii, by w sposób czytelny zmieniło się miejsce akcji.

Trudno jednak wyobrazić sobie „Operę za trzy grosze”, w której jedną z najbliższych postaci jest Mackie Majcher. Odtwarzający tę postać Jerzy Przewłocki jest nijaki. Wszystko co można o tej roli napisać, to to że Mackie ma ładne kostiumy i świetnie w nich wygląda. Nie daje sobie rady z songami, nie potrafi prowadzić dialogu z partnerami, gra jakby obok i w zupełniej innej operetce. Trudno znaleźć kwestię brzmiącą prawdziwie. Myślę,

że źle zrozumiał, na czym powinien polegać dystans do roli w tej sztuce.

Listę żalów i rozczarowań mógłbym ciągnąć dalej, ale nie specjalnie mam ochotę psuć krew i samopoczucie sobie i tym, o których parę niemiłych słów należałoby jeszcze napisać, choć wszyscy ciężko pracowali. Krótko rzecz ujmując — „Opera za trzy grosze” wyraźnie przerasta aktualne możliwości tego zespołu. Co wcale nie znaczy zresztą, że totalnie wszystko w tej realizacji było fatalne, tyle że plusy można policzyć na palcach jednej ręki i miażdży je ogólne wrażenie jakie wyniosłem z przedstawienia.

Żaden sędzia nie zaliczy skoku pod poprzeczką, choć nie może zaprzeczyć, że skok został wykonany i że próbować skakać należy. Tym razem dyspozycja zawiodła.

„Gazeta Robotnicza” 1988, nr 222 (23.09)